Tom XI. Nr. 6.

21. sierpnia 1864.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Gadka o kozaku Sulimie.

Nie znaleźć już dziś takich chwatów siarczystych, takich dzielnych i walecznych wojaków, jakimi byli polscy Kozacy!

Ni ogień ni woda nie ostała się w spokoju przed tymi zuchami i Bóg sam jeden wie, czegoby byli nie dostali swemi ostremi szablami. Tożto bywało za polskich czasów Turek poganin lamenta wywodzi, zębami zgrzyta i z wściekłości długą brodę targa, tak ci mu dojedli nieraz swojemi spisami kozaccy „mołojcy“!...

Czy to na szybkich jak błyskawicach koniach uganiać przyszło za wrogami Polski, czy popłynąć Czarnem morzem na czółnach aż pod samą stolicę pogańską, pod Stambuł — Kozacy na to jak na lato! Czy to spaść jak piorun na Tatarów i Moskwę lub innych nieprzyjaciół naszej ojczyzny, czy wyczubić brodacza Turka w własnym jego domu, to już i nie trza było mówić Kozakom, bo się sami rwali do bójki z całej duszy!....

Każdy Kozak to był zuch nad zuchami, ale ten Sulima, o którym tu jest pisanie, to był Kozak nad Kozakami!...

— A kto był ten Sulima? — zapytacie mnie dobrzy ludkowie.

Sulima urodził się pod taką samą słomianą strzechą, jak każdy z was, co to czytacie, i pochodził z kmiecego rodu, ale gdzie chodziło o bitkę z poganami, tam niech się i tysiąc innych schowa przed jednym Sulimą! Zalał on tym wrogom Polski nieraz gorącego sadła za skórę i wypłacił im z setnym procentem, co tylko kiedy nabroili w naszej ojczyźnie.

Będzie już temu lat dwieście kilkadziesiąt, jak ten wojownik Sulima żył w Polsce. Razu jednego zwołał on Kozaków, samych chłopców jak z żelaza ulanych i mówi im:

— Hejże chłopcy, co tu będziem marnieć i kwaśnieć za piecem! Siądźmy na czółna, i nuż na szerokie Czarne morze, pohulać sobie z pogańcami!....

Kozakom tego dwa razy nie mówić, brzęknęli szablami, podrzucili w górę czapkami, i huknęli aż się chmury odezwały:

— Hurra! na pogańca Turka!!!...

Wsiedli zaraz z Sulimą na czółna, co się zwały po kozacku czajkami, i popłynęli Dnieprem do Czarnego morza.

Dniepr szumi i kipi, burzy się i pieni, jakby się radował że takich wojaków swoją wodą dźwiga — a Turcy ani się spodziewają, co to za licho siny Dniepr im na kark nadniesie!

Uciekajcie Turki, bo Sulima płynie!
Uciekajcie prędzej, bo każdy z was zginie!
Oj płynie Sulima, aże woda szumi,
Potłucze was Turki, porąbie, potłumi!
Za Sulimą czeszą — szablą iskry krzeszą
Kozacy, junacy — na Turczyna spieszą...
Uciekaj że Turku — oberwą ci brodę,
Krwią twoją czerwoną pofarbują wodę!...

Oj byliżby uciekali poganie, żeby i ślad po nich nie został, gdyby byli wiedzieli, że Sulima jak wiatr na nich pędzi!

Płynie Sulima z swymi Kozakami, płynie — i wypłynął na Czarne morze. Nie widać ziemi tam nigdzie — jeno wodę i niebo. Woda szumi i huczy, po niebie chmury gonią, a z daleka tureckie okręta nadciągają....

Okręta tureckie takie ogromne, aż morze pod niemi stęka, armat na nich jak nabił, a każda roztwiera ognistą paszczę na Kozaków — ale Sulima nie zna, co to trwoga, i woła na swych chłopców:

— Naprzód mołojcy! Hurra na okręta tureckie!

— Hurra! — krzyknęli mołojcy i wiosłują z całej mocy, aż się woda w tysiące kropelek rozpryska a łodzie jak strzała naprzód pędzą.

Uderzyli na okręta tureckie, Sulima skoczył na nie naprzód, Kozacy za nim i nuż rąbać i kłuć pogan. Poganie się bronią co siły, z strzelby gęsto strzelają i krzywe szable w krwi chrześcijańskiej moczą — ale wiara polska górą! Nie minęło godziny dobrej, a już okręta tureckie w ręku Sulimy i jego Kozaków.

Od krwi pogańskiej morze się czerwieni — a potwory morskie głodną paszczeką trupy tureckie szarpią — ale jeszcze 300 Turków zostało przy życiu. Kazał ich powiązać Sulima i wraca do domu! Wypłynął na morze na maleńkich czółnach a wraca w dużym malowanym okręcie, wiezie skarby pogańskie i 300 Turków niewolników!

Przypłynął Sulima do ojczystej ziemi i każe stawić przed siebie 300 powiązanych Turków.

— Co zrobić z nimi? — pyta swych Kozaków.

— Wyciąć w pień! — powiada jeden.

— Wrzucić do lochów podziemnych! — radzi drugi.

— Oj nie tak ja zrobię — mówi Sulima. Toć naszych biednych Chrześcijan mnóstwo jęczy w niewoli tureckiej, a za każdego Turka dostaniesz u pogan jednego Chrześcijanina! Poszlę ja tych 300 pogan samemu Ojcu świętemu, niech ich u Turków za naszych braci, co są w niewoli, wymienia!

I woła pisarzów i każe im pisanie do Ojca świętego ułożyć. Piszą pisarze, piszą, drobne jak maczek literki stawiają i cienkiem piórkiem piękne kółka kreślą. Gdy już napisali, wtedy wybrał Sulima kilka co najrozumniejszych ludzi i dał im pisanie i tych 300 Turków, aby je w podarunku Ojcu świętemu zawieźli.

Przyjechali posłańcy Sulimy do Rzymu i przed Ojcem świętym na kolana padają i pisanie mu u stóp kładą.

— Nasz brat i dowódzca Sulima — mówią — szle Ci Ojcze święty to pisanie pokorne i 300 Turków w podarunku!

Czyta papież pisanie Sulimy i aż mu się łzy w oczach zakręciły, tak się rozradował, że w Polsce tacy dzielni wojownicy i pobożni Chrześcijanie żyją, i mówi:

— Pokłońcie się odemnie Sulimie i zanieście mu także błogosławieństwo moje, bo go miłuję jak syna! A rozgośćcie się u mnie trochę, a ja tymczasem postaram się o piękny podarunek dla polskiego rycerza Sulimy, co tak dzielnie wrogów pogańskich gromi!

I woła zaraz Ojciec święty złotników i uczonych majstrów i złota im dużo daje i każe z tego złota swój własny wizerunek zrobić. Robią majstry dzień i noc, jasne złoto w ogniu topią i maleńkiemi młoteczkami kują — a w końcu zrobili obraz Ojca świętego taki piękny i świecący, że aż za oczy chwyta.

— Wtedy dał ojciec święty ten swój złoty wizerunek posłańcom Sulimy i mówi im:

— Dajcie ten obraz złoty Sulimie. Posełam go mu w darunku i na pamiątkę wraz z błogosławieństwem mojem, niech go Bóg strzeże i niech szabli jego błogosławi!

A gdy Sulimie posłańcy ten złoty wizerunek oddali, to waleczny ten rycerz aż z radości zapłakał i na swem sercu obrazek powiesił i aż do śmierci go nosił. A wrogów polskiej ziemi dalej gromił szablą swą zwycięzką.

Mocny Boże, gdzie to się te dawne czasy podziały?....

Pierwszy dzień pracy.

Nasz praojciec pokuszony
Chciał w nieszczęsnej dumie
Równym być samemu Bogu
W sile i rozumie.

Za to z raju wypędzony,
Ugiął kark swój hardy,
I w pokorze wzdychający
Jął się ziemi twardej.

Niezwyczajny już omdlewa,
A wciąż słońce pali —
Lecz co spojrzy na niewiastę,
Znowu kopie dalej.

Coraz wyżej słońce piekąc
W górę się podnosi,
Coraz gęstszy strumień potu
Twarz Adama rosi.

Aż mu z oczu łzy pociekły,
A z spragnionej wargi
Nie śmiał posłać do Wszechojca
Modlitwy ni skargi.

I opuścił w niemym bolu
Ręce już omdlone,
Tylko porwał w swe objęcia
Biedną, drogą żonę.

Aż tu chmurka nadlatuje,
Pierwsza, drobna, biała —
Rośnie, rośnie, i już słońce
W łonie swem schowała.

Więc znów staje jakby odżył
Adam do roboty,
Tysiąckrotnie mu przybywa
Siły i ochoty.

Aż zapachła okopana
Pierwsza rola, czarna...
Tylko zasiać — ale Panie!
Zkądże wziąć tu ziarna?!

Ziarno w raju pozostało;
Tam anioł na straży
Stoi z mieczem płomienistym —
Któż się wejść poważy?

Ścisnął straszny ból Adama,
I jęknął ponuro —
„Darma praca! dzięki Tobie,
Idź już teraz chmuro!“

Ale chmura — dotąd cicha,
Jak gołąbek biała —
Nagle ćmi się, kłębi, huczy —
Pierwszy raz zagrzmiała.

Poznał Adam głos ten, klęka,
Wdzięczne łzy mu biegą,
Że Bóg, choćto głosem gniewu,
Przemówił do niego.

Aż tu leci z raju ptactwo,
Słodką pieśń zanuca,
I co dziubki swe otworzy,
Pierwsze ziarna rzuca.

I zagrzmiało znowu w chmurze, —
Kroplami srebrnemi
Począł rosić deszcz rzęsisty
Pierwszy raz na ziemi.

Gdy nazajutrz wstaje Adam,
To aż patrzeć miło,
Jak się cudnie pierwsze zboże
Do słońca runiło!

Odtąd wiernie z bożą wolą
Słońce, chmury, ptacy,
Choć niepłatni, pomagają
Człeku w świętej pracy.

Rusin z Więckowic.

Czarodziejskie kamienie,

czyli:

Jak Tomasz Drapka lazł na czarcią górę A Szmaciłatka wytrzepał mu skórę!

II.

Na drugi dzień, a było to w niedzielę, Antek wysłuchał nabożnie mszy św. i kazania i poszedł potem do lasu, gdzie na niego już czekał Tomasz Drapka. Słońce paliło jak ogień,

bo było to wśród skwarnego lata, a Drapce lał się pot z czoła, jak woda.

— A co *rychtyk* pójdziemy? — zapytał Antka.

— A jużci! idziemy zaraz — mówi Antek — jeno raz wam jeszcze powiadam, abyście dobrze słuchali, co wam nakażę, bo by się nam nic nie udało.

Idzie tedy Tomasz za Antkiem i aż rady sobie dać nie może, takby chciał już prędko dostać czarodziejskich kamieni. Dobry kawałek za lasem była wysoka góra, co na niej nic nie rosło, bo była sucha jak pieprz, i jeno same kamienie na niej się świeciły.

Na tę górę wydrapał się Antek, a za nim lazł co siły Tomasz, aż mu nos coraz bardziej czerwieniał a stękał i sapał jak miech kowalski. Gdy już przyszli na górę, zobaczyli dużo bardzo kamieni.

— Panie *Anton* — pyta Tomasz — czy to *rychtyk* te zaczarowane kamienie?

— Nie wszystkie — mówi na to Antek — ale między niemi są także i zaczarowane. Trzeba dopiero szukać....

— Ba ale jak? — pyta Tomasz.

— Ja wam to zaraz powiem! — mówi Antek — ale wpierwej musimy odbyć jeszcze czary!

I zaprowadził Antek Drapkę pod duży kamień i mówi mu:

— Teraz słuchajcie co wam każę i powtarzajcie za mną co ja wam będę mówił!

I zawołał grubym głosem:

Tomaszu Drapko
Utrzej nos łapką!
I powąchaj kamień,
Bo są czary na nim!

Drapka otarł czerwony swój nos oboma rękami i obwąchał do koła kamień; że Antkowi się serdecznie na śmiech zbierało, jeno się wstrzymywał, aby sobie nie popsuć figla. Więc mówi znowu dalej:

Bij teraz czołem
Tomaszu jak kołem
W ten kamień twardy,
By nie był hardy!

Tomasz hrym! hrym, czołem w kamień, aż mu takie sińce i guzy wybiegły na czoło, jak spore buraki.

— A teraz słuchaj Tomaszu — mówi dalej Antek — jak ja powiem zaczarowane słowa, to ty wtedy zacznij zbierać kamienie jeden za drugim a wybieraj jak największe.

— A jakże ja *wysztudyruję*, który kamień *rychtyk* cudowny? — pyta Tomasz.

— Będziemy zbierać jeden za drugim — mówi Antek — a jak znajdziemy prawdziwy, to zaraz to poznamy, bo z nas jeden drugiego widzieć nie będzie! Ale teraz klęcz przed kamieniem, bij w niego czołem, żeby aż w lesie się odzywało a nie przerywaj mi nic, bo by cię zaraz z duszą i kośćmi porwał djabeł jak swego!

Tomasz aż mało się nie przewrócił od strachu i wali czołem o kamień, jak kowal młotem w kowadło, a Antek podniósł ręce do góry i mówi:

Tomaszu!
Drabiaszu!
Żeś cap
I drab
Djabeł cię chap!

— Tomaszu łup czołem o kamień!

A Tomasz hrymnął znowu aż góra się zatrzęsła.

— A teraz — mówi Antek — słuchaj słów zaczarowanych:

Arendus, okowitus, harmiderus, smokczybykus, głupibabus, łupiżabus, łapimuchus, wiatrodmuchus, stulgębus, kłapizębus. Szap, łap, pap, *Kukuryku cap!*

— Tomaszu łup czołem o kamień!

Tomasz uderzył znowu czołem o kamienisko, aż mu w oczach świeczki stanęły.

— A teraz szukajmy kamieni! — zawołał Antek Szmaciłatka.

Tomasz porwał się jak opętany i zaczął zbierać co największe kamienie i chować do kieszeni. Napchał już jedną i drugą, i za pazuchę napakował huk kamieni i w kapelusz i w poły, aż stęka i sapie pod tym ciężarem, a w końcu pyta się Antka:

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

— Widać — mówi Antek — zbieraj dalej, bo jeszcześ nie natrafił na cudowny!

Tomasz zbiera dalej i już nie ma gdzie podzieć, nareszcie pakuje dalej kamienie w płachtę i dźwiga ciężar, aż mu w grzbiecie trzeszczy i z czerwonego nosa ciurkiem mu się pot leje.

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

— Widać jeszcze!

Tomasz zbiera dalej kamienie, a kiedy ich już tyle na sobie dźwiga, że poczerwieniał cały jak rak ugotowany i ledwo się na nogach utrzymać może, pyta znowu:

— Antoni, a widać mnie jeszcze?...

A Antek filut udaje naraz, że go nie widzi, i woła:

— Nie widać! nie widać!

Tomasz okrutnie się ucieszył i zgarnąwszy płachtę wraca do domu, i myśli że już pewnie znalazł cudowny kamień.

A Antek chociaż widzi przed sobą Tomasza Drabkę, wielkiego jak woła, udaje dalej, że go nie widzi i woła:

— Tomaszu! hej Tomaszu! a gdzie wy?

A Tomasz cieszy się okrutnie i chce zmykać do domu, aby nie potrzebował się podzielić cudownemi kamieniami z Antkiem, i mówi sam do siebie:

— Wołaj ty sobie *rychtyk*, a ja sobie *pomasieruję* do domu, kiedy już znalazłem cudowne kamienie!

A Antek woła znowu:

— A to łotr ten Tomasz! Znalazł cudowny kamień i teraz z człekiem już ani gadać nie chce! Hej, hej! Tomaszu! Hop! hop! Ta odezwijcie się przynajmniej, bo was nie widzę ani odrobinki, a to z racyi tego kamienia coście go naleźli! Tomaszu! Toć podziękujcie mnie choć, i dajcie okruszynkę cudownego kamienia!...

Ale Tomasz nic nie odpowiada jeno zaczyna złazić z góry myśląc sobie:

— Zobaczysz ty mnie *mercho rychtyk* na sam sądny dzień! Ja teraz się *wyhamsztyfikuję* na okrutnego pana, bo będę miał *szyćko*, co mi się podoba, a ty *wagabund* bądź sobie *sznajdrem* póki życia....

A Antek idzie ciągle za nim i ciągle tak udaje, jakby go nie widział a w końcu woła:

— Oj gdybym cię widział ty drabie Tomaszu, tobym ci pierwszym lepszym kamieniem zajechał przez pięty!...

I podjął kamień i palnął nim prosto w same łytki Tomaszowi wołając:

— Ot tak bym cię walnął kamieniem, gdybym cię zobaczył!

A Tomasz aż podskoczył od bolu i zgrzytnął zębami, ale nic nie mówi, jeno ucieka, myśląc, że go Antek nie widzi.

— A także bym cię trzasnął tym kamieniem, o tak, kiedyś taki poganin! — woła dalej Antek i łup Tomasza kamieniem po nogach.

Tomaszowi aż świeczki stanęły w oczach, bo mu Antek zajechał kamieniem w same pięty, ale nic nie mówi, jeno idzie dalej i dźwiga kamienie, aż mu z nosa pot ciapie jak deszcz ze strzechy.

A Antek udaje sobie złość okrutną i dalej mówi:

— Gdybym cię widział, ty oszuście Drapko, tobym cię ubił na kwaśne jabłko! A tożbym go prał tą paliczką! Cóż kiedy szelma znalazł cudowne kamienie i nie mogę go widzieć! Wysoliłbym mu ja skórę jak śledzia!

I począł niby wymachiwać paliczką przez powietrze, a tymczasem prażył co się wlazło Tomasza Drapkę po grzebiecie, aż grzmiało!.... Tomasz kąsa się w język z bolu, syczy jak gadzina, ale milczy jak kołek i chce uciekać co siły do wsi, ale nie może, bo mu ciężko z kamieniami. A Antek niby to ciągle go nie widzi, i jeno swą złość tak na wiatr wypuszcza — a tymczasem trzepie mu plecy tak siarczyście, że aż w lesie huczy.

A głupi Tomasz wierzy ciągle, że go Antek nie widzi i dla tego taki zły — i myśli sobie „byle się tylko dostać do domu, to już będzie *rychtyk* dobrze.“ I tak Antek wyłoił i wygrzmocił Tomaszowi skórę jak bęben, a gdy mu już dość tego było, poszedł naprzód do wsi śmiejąc się okrutnie z Tomasza.

Pobiegł Antek do wsi i tam zaraz zwołał prawie całą gromadę.

— Chodźcie no na drogę za wieś, pokażę wam coś okrutnie śmiesznego i ciekawego! — tak wołał Antek a jak cała wieś żyła, tak pogonili wszyscy za nim.

Stanęli sobie wszyscy przy drodze na końcu wsi, aż tu wlecze się powoli Tomasz Drapka i dźwiga po wszystkich kieszeniach i w płachcie moc kamieni! Nos mu sapie jak miech, a pot mu się łeje z całego ciała, jakby się skąpał w rzece! Stęka i dysze, aż mu piersi dudnią jak most, a od czasu do czasu odpoczywa i skrobie się po plecach i nogach, bo mu je Antek paliczką tęgo wysmarował!

Jak się Tomasz zbliżył do ludzi, tak wszyscy w śmiech okrutny i wołają:

— Tomaszu! Tomaszu! A wy co dźwigacie tyle kamieni, i to w niedzielę do tego?

A Tomasz jak to usłyszał, mało nie przewrócił się na ziemię. Wyrzucił z rąk płachtę z kamieniami i stanął jak martwy od wstydu i złości. Dopiero teraz poznał, że nie znalazł żadnego cudownego kamienia, i że go jeno tak Szmaciłatka wystrychnął na dudka przed całą gromadą!

A ludzie aż pękali od śmiechu i pokazywali palcami na Drapkę i jego kamienie! Drapka uciekł do domu jak zmyty i przez cały tydzień nie pokazywał się na świat od wielkiego wstydu.

— Ktoby to myślał — mówił sam do siebie — że ten Szmaciłatka taki *szpicbub* i *rebeljant!* Oto ze mnie *rychtyg* głupiec okrutny!

A jak wieś Żabie Brzuszki istnieje na świecie, tak nie było w nich nigdy tyle śmiechu i uciechy, jak z tego figla, co go Antek Szmaciłatka spłatał Tomaszowi Drapce. A dzieciaki wiejskie, zobaczywszy nieraz Tomasza, wołały za nim:

— Hop! hop! Tomaszu a gdzie wy?

A Tomasz wtedy uciekał jak oparzony i mało sam siebie nie kąsał ze złości, że się dał tak okpić siarczyście.

Ja zaś spisałem wam tu całą tę ucieszną historyę tak, jak mi ją sam Antek Szmaciłatka opowiadał, co często zachadzał do mnie na robotę. Czytajcie ją sobie kochani ludkowie na ucieszenie i na naukę, która taka jest:

Po pierwsze: Nie bądź chciwym; nie łakom się nigdy na wielkie majątki i skarby; nie kuś się o krzywdę ludzką.

Po drugie: Nie wierz w żadne czary i zabobony, bo to wszystko głupota wierutna i fałsz oczywisty a i uraza Boska w dodatku!

Wojtek ze Smolnicy.

Dziwne drzewa.

Rozmaitemi drzewami ubogaciła Opatrzność Boża ziemię, każdy wie, ile z nich mamy korzyści, przyjemności i ozdoby.

Ale chociaż z nas każdy zna bardzo dużo gatunków drzewiny — to przecież ani mu się śniło nawet o takich cudownych drzewach, jakie w ciepłych rosną krajach. Człowiek by nawet nie uwierzył, gdyby to nie było dokumentną prawdą. Bo to proszę was, czy słyszał kto z was kiedy o drzewie chlebowem, maślanem, mlecznem, mydlanem, łojowem? A przecież drzewa takie rosną w ciepłych krajach i ludzie, co tam byli, widzieli je na własne oczy.

I tak rośnie drzewo chlebowe w innych częściach świata pod gorącem słońcem. Drzewo to ma kruche gałązki, które kiedy są jeszcze młode, to je ludzie zbierają, na żarnach mielą — a z mąki tej placki pieką, które taki smak mają, jakby gruby chleb żytni lub pszeniczny.

Drzewo maślane, do 30 łokci wysokie, rośnie w Afryce. To drzewo wielkie ma piękne kwiaty, a owoc brunatny podobny do gruszek. Z tego owocu wyciskają tameczni mieszkańcy sok żółty, zupełnie podobny do masła i tem masłem kraszą potrawy. Pewien uczony podróżny, co tam był a zwie się Mungo Park, powiada, że z ususzonego owocu drzewa tego wydobyte masło utrzyma się cały rok bez soli, i jest bielsze, twardsze i smaczniejsze od naszego.

Drzewo mleczne. W Ameryce południowej, gdzie ogromne są upały i słońce wszystko wypala, zapuszcza drzewo liche swe mocne i twarde korzenie w rozpadlinach skalnych, a nawet swem gwałtownem rośnięciem rozsadza i skały. To

drzewo z pozoru biedne, zwiesza suche liście, a gałęzie jego jakoby uschnięte; i to drzewo niepozorne jest nieoszacowanym darem Boskim dla tamtejszych mieszkańców, murzynów, którzy niem się żywią i krzepią. Nazywa się drzewem mlecznem, bo rzeczywiście daje mleko pożywne i smaczne. O świcie bieży murzyn do kochanego swego drzewa, nawierci je, a strumień mleka zaraz tryśnie. Murzyn najpierw sam się pożywi, a potem i dzbanek i jeden i drugi do domu napełni. Kto więc może pędzi do tego drzewa o wschodzie słońca, bo wtenczas najwięcej przypuszcza mleka. A nawet gdy to mleko się podstoi, zbierze się śmietana zupełnie tak jak u naszego mleka.

Drzewo mydlane jest w Ameryce, wysokość jego dochodzi 15 łokci; kwitnie biało a owoc ma podobny do śliwek. Ten owoc jest ostry, soczysty i służy do prania, jak u nas mydło a nawet się burzy. Trzy lub najwięcej cztery owoce znaczą tyle co funt mydła.

Drzewo łojowe rośnie w Chinach w Azyi. Ma wysokość 3 do 4 łokci, a podobne jest do śrebrnej topoli. Twarda łupina owocu mieści w sobie ziarnka jak groch. Chińczycy gniotą łupinę i ziarnka, gotują to wszystko w wodzie, a ztąd wydobywa się tłustość, a gdy tę zbiorą i ostudzą, mają łój. Pomieszają z nim nieco wosku lub oleju lnianego, i z tej masy wyrabiają białe świece, które się bardzo jasno palą. Ziarna tłuczone dają dobry olej do palenia.

Dziwnym zaprawdę sposobem żywi Bóg i opatruje swe dzieci na obszernej tej ziemi! *S. N.*

RADY GOSPODARSKIE I LEKARSKIE.

Marchew jako pastwa dla koni.

Miara owsa zmięszana z miarą marchwi tak samo pasie konia, jak dwie miary owsa samego. Nie idzie ztąd, by sama marchew była koniom tak dobra jak owies, ale marchew z owsem mieszana sprawia łatwiejsze i zupełne trawienie owsa, bo konie samym owsem paszone nie trawią go wszystkiego,

ale dużo go odchodzi w odchodach niestrawnego. Zaś żółta przedewszystkiem marchew koniom codziennie dawana w małych porcyach zaostrza im apetyt, iż lepiej trawią, a nawet gorsze siano, na któreby bez dawania im marchwi ani nie wejrzały, chętnie pożywają. Marchew na wiosnę koniom dawana od wielu chorób je chroni, przedewszystkiem załzom zapobiega.

Tylko jak we wszystkiem tak i tu miarę zachować należy. Bo gdybyś znowu chciał konia paść samą marchwią, byłoby to dla niego niedostatecznem a często i szkodliwem. Chcesz mieć konia dobrej tuszy, mocnego i by jeno tak błyszczał, pięknego, dawaj mu najwięcej dwie części marchwi a trzy części owsa.

Jakim sposobem upływ krwi zatamować można?

Jadę sobie nie dawno temu przez wieś i widzę człowieka leżącego na ulicy a krew mu jeno tak strumieniem płynie. Koło niego ludzi gromada a wszyscy jakoś zafrasowani wyrzekają nad onym biedakiem. Kazałem tedy stanąć i mówię do chłopów: „Podnieście go na równe nogi;“ co gdy uczynili, wziąłem go za rękę i podniosłem ją w górę a drugą jego rękę drugiemu chłopu kazałem też podnieść w górę, iż on człowiek wyglądał jakby rozkrzyżowany, jeno że ręce były jeszcze bardziej w górę podniesione. A tu krew zaraz płynąć przestała i on człowiek wnet przyszedł do siebie. O czem wam wszystkim donoszę, abyście w podobnym razie równie tak sobie postąpili, bo ten środek na to najłatwiejszy i najskuteczniejszy.

Lepiej słoną wodą solić, niż samą solą.

Razu pewnego Magdę Ratajkę jakoś strasznie zagniewaną zastałem, a jej mąż Szczepan też jakoś kwaśno patrzy, iż ledwo mię przywita. Pytam czemu tacy zafrasowani a Magda zaraz na to:

— Ot dziwak, Jegomościnku, ten mój, wczoraj mu rosół był nie słony, dorzucił sobie soli i smakował mu i mnie też. Dziś mu tego samego rosołu przygrzałam, co wczoraj nie zjadł, a on na mnie wytwarza, żem na psotę jeszcze dosoliła, bo

powiada, że go dziś aż w gardle drapie, taki słony, a wczoraj przecie był dobry; toć prawda, że dziś słony, ale przecie ja go nie dosolała.

Jeszcze tam więcej Magda gadać chciała, Szczepan też niby gębę otwiera a tymczasem ja tę rzecz tak im wyłożyłem:

— Kłócicie się, moi ludkowie, nie wiedzieć o co. Kiedyście wczoraj ten rosół osolili, nie był taki słony jak dziś, choć go nikt nie dosolał. Bo sól wczoraj w rosole dobrze jeszcze nie stopniała a przez noc miała czas się dobrze rozpuścić; ztąd to dziś rosół bardziej słony, niż wczoraj. Jeśli się zaś chcecie o tem dokumentnie przekonać, to wysypcie miarkę soli w trochę wody a nazajutrz osólcie tą wodą jaką potrawę. Osólcie też inną razą taką samą miarką soli w wodzie nierozpuszczonej a przekonacie się, że ta sama miarka soli we wodzie rozpuszczonej prawie raz jeszcze tak osoli potrawę, jak ta sama miarka suchej soli.

— A widzisz, mówi Magda do swego, wszakem ci rosołu dziś nie dosolała.

A Szczepan się odezwie: Kiedy tak, to sól potrawy solą pierwej w wodzie rozpuszczoną, a oszczędzi się nie mało grosza.

— Tak, tak, dodałem ja, toć podobno Czesi już dawno taką słoną wodą solą, a wy wszyscy się o tem możecie przekonać, że na tem nie źle wychodzą.

Uprawa prosa.

Proso wymaga jak najczyściejszej roli, ponieważ przeciwnie jak hreczka, późno wschodzi, wolno z początku rośnie i chwastów wcale nie przytłumia. Rola więc pod proso powinna być najstaranniej uprawioną, inaczej po zasianiu puszczające się chwasty koniecznie wypielone być muszą, i wiele żmudnej pracy gospodarzowi przyczynią. Potrzebuje gruntu kruchego, żyznego i ciepłego, ale lepiej uda się w drugim roku po nawozie, niż na świeżym gnoju. Sieje się późno i to kiedy się mrozu obawiać nie masz przyczyny. Jeżeli można z siewem trafić na deszcz, tem lepiej. Ziarno przed siejbą zawsze się parzy, najlepiej w serwatce; tym sposobem czyści się od pyłu

i prędzej kiełki wypuści. Jest bardzo dobrze po zasianiu i zabronowaniu rolę powalcować, aby powierzchnią jak najdokładniej rozpruszyć i zrównać, a po tygodniu lub więcej jeszcze raz zbronować dla zniszczenia puszczających się chwastów. Proso nie pokaże się nigdy przed dwoma tygodniami, i wtedy posucha najlepiej mu służy. Jeżeli po zejściu w pierwszym tygodniu deszcz na nie gwałtowny spadnie, niezawodnie nic z niego nie będzie, zagłuszy je w istocie, ponieważ listki jeszcze nierozwinięte, mając kształt uszka, napełniają się wodą i od niej roślina ta gnije. Deszcz dopiero później jest pomocnym, kiedy listki się rozwiną a jeszcze bardziej, kiedy proso już się kłosuje. Proso mocno rolę wyplenia, to jest: dużo z niej wyciąga żywiołu, i dlatego nie wypada go siać przed oziminą, lubo czasem to czynią na nowinach lub borowinach, na których, jeżeli są w położeniu suchem, proso się udaje, ponieważ pod powierzchnią nowin ziemia zawsze jest sypka, a taką ziarno to lubi.

RÓŻNOŚCI.

Straszne nieszczęście. Tego roku to wyraźnie jakby się Pan Bóg na nas pogniewał, bo dotyka nas srodze rozmałtemi klęskami i nieszczęściami.

Oto posłuchajcie kochani ludkowie, jaki się okropny wypadek wydarzył koło Krakowa pod Czernichowem na Wiśle. Jak każdego roku o tym czasie, tak i teraz wracali ludzie z odpustu na Kalwaryi Zebrzydowskiej, co się tam odbywa na Wniebowzięcie Najświętszej Panny Maryi. Otóż dnia 16 sierpnia wracały wielkie gromady ludu wiejskiego z Kalwaryi a droga im wypadała przez Wislę pod Czernichowem. Z przyczyny, że ludzi była wielka siła, więc nie można było przewieźć się przez Wisłę na promie, jeno wzięto do tego krypy, co się na nich po 600 korcy zboża ładuje. Wsiadło tedy z jakich 300 ludzi na tę krypę. Ale już to takie nieszczęście między naszymi kmieciami, że choć z świętego miejsca wracają, to przecież na złe się skusić dadzą. I tak widzicie, kochani ludkowie, wsiadł na tę krypę także żydzisko z wódką, a przewoźnicy, czyli wioślarze, zaraz się nią okrutnie spili. Było to koło godziny 8mej z wieczora. Pijani wioślarze nie umieli trafić na dobre miejsce do brzegu, bo jak zwyczajnie wódka zatumaniła im głowy, jeno nakierowali

krypę na galar. Jak tedy krypa uderzyła w ten galar wielką siłą, tak się na dwoje rozpadła jak szkło. I oto patrzcie, jedna połowa krypy poszła pod wodę razem z ludźmi a druga połowa popłynęła dalej. Rzucili się ludzie do ratunku, a osobliwie gromada czernichowska ratowała co mogła. Ale daremną była ich praca! Tych co popłynęli dalej, uratowano prawie ze wszystkiem, ale ci co zatonęli, już nie obaczyli bożego słonka! I tak utopiło się marnie **sto ludzi.** Byli ci biedacy ze wsi Czułówki, Nowej Góry i Kaszowa. Powiadają ludzie, że między tymi co się utopili jest także i przezacny kmieć z Kaszowa **Felix Boruń**, co to odbywał pielgrzymkę do Rzymu i do świętej ziemi i z samym Ojcem świętym rozmawiał, a potem to wszystko do druku podyktował! Oj straszne, to bardzo straszne nieszczęście, że aż człek boleśnie zapłakać musi! Okropnie nas palec Boży dotyka, snać wielkie grzechy między nami, kiedy nas Bóg Najwyższy tego roku tak ciężko karze!..

Czyja koza? W jednej wsi mieszkało dwóch gospodarzy, z których każdy miał jedną czarną kozę. Obie te czarne kozy były tak podobne do siebie, że ani rusz było poznać, która Kuby a która Łukasza. Otóż stało się tak, że jedną kozę, gdy się pasła, zjadł wilk. Gdy tedy wrócił pastuch gromadzki do wsi, lamentował bardzo, że wilk jedną kozę porwał. Zbiegli się na ten lament ludzie, zaś najpierw Kuba i Łukasz. Gdy się dowiedzieli o wszystkiem, mówi Kuba:

— No chwała Bogu! moja koza jest, wilk zjadł Łukaszową!

A Łukasz;

— Nieprawda twoją zjadł wilk, oto moja zdrowa i cała!

Poczęli się tedy okrutnie kłócić Kuba i Łukasz, czyją kozę zjadł wilk, i już mało co nie przyszło do bitki. Wołają w końcu wójta, aby rozsądził tę sprawę. Wójt poskrobał się w głowę, popukał palcem w czoło, bo nie wiedział jak tu sądzić po sprawiedliwości. Mówi tak:

— Niech odprowadzą kozę do mojej stajni, dopóki się sprawa nie załagodzi, a tymczasem zbierzemy przysiężnych i gromadę i będziemy sądzić czyja koza.

Aż tu naraz występuje jeden chłopek, co się temu wszystkiemu z boku przypatrywał i mówi:

— A nacóżby tego, ja tu w jednej chwili przekonam się, czyja koza, czy Kuby, czy Łukasza!

— Owa jaki mi mądry! — mówi wójt — anu próbuj!

Ów chłopek nie myśląc wiele chwycił za batóg i zaciął nim kozę po nogach. Koza poczęła uciekać a on mówi:

— Patrzajcie teraz ludzie, gdzie koza pobiegnie, do której stajni, czy do Łukasza czy do Kuby?

Koza jak drapnęła, tak się dopiero na podwórzu Łukasza zatrzymała.

— Otóż widzicie, moiściewy, — mówi mądry chłopek — ta koza niczyja inna jeno Łukasza!

I tak rozsądził całą sprawę po sprawiedliwości.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **E. Winiarz.** Z drukarni E. Winiarza.